

FORTEPIAN

Przyjdiesz o siódmej i ani minuty później. — Ale jeśli się spóźnię o parę minut, to nie się nie stanie, prawda? — Powiedziałem o siódmej i nie waży się tego znievažić, będziesz dzisiaj sądzona, to jest twój sądny dzień. Proszę kupić po drodze czekoladki i proszę mieć dużo czasu, proszę to sobie jakoś zorganizować, nie mnie nie obchodzi jak — rzucił słuchawkę, a Magdalena niespokojnie zaczęła kręcić się na krześle. Rozmowa z dawną przyjaciółką jakoś przestała się kleić. Będzie więc dzisiaj sądzona, nareszcie sądzona za wszystko, co mu w dalekiej przeszłości, wielokrotnie i z zimną krwią wyrządziła. Za zniewagi i lekceważenie, za prymitywność i głupotę, za miłość do innego szaloną i zgubną, za zaślepienie straszliwe i brzemienne, za wieloletnią nie-trzeźwość umysłu, za to, że się na nim nie poznała, na jego wielkości i geniuszu, i sercu, za to, że uciekła na wieki, nie zostawiając śladu po sobie, za to, że pojawiła się znowu i za to, że było już za późno... Może nawet będzie chciał ją zabić. Myśl ta, która najpierw przeszła ją przerażeniem, stopniowo stawała jej się coraz słodsza i bliższa, coraz bardziej upojna, zwodnicza, rzewna i błoga. Może nawet każe jej uklęknąć i włożyć pistolet do jej ust... Zegarek pokazywał wpół do siódmej, Magdalena wyskoczyła z krzesła, nerwowo zaczęła coś tłumaczyć i wpajać przyjaciółce, gdyby ktoś mnie szukał, po mnie przyszedł albo dzwonił, kiedy przyjdą tu po mnie całą zgrają, powiedz, że właśnie od ciebie wyszłam, że właśnie wracam do domu i zadzwoń do mnie pod ten numer. Zignorowała wymowne spojrzenie przyjaciółki, spadła ze schodów, nie wiedziała którym tramwajem, więc puściła się na przełaj przez miasto, spoci się, ale to trudno, nie wolno jej się przecież spóźnić, po drodze zachaczyła o delikatesy, a potem jeszcze zryw, jeszcze sprint, jeszcze jedno czerwone światło i cały szereg gamoniów, gapiących się z przeciwnej strony, i oto stała zadyszana przed domofonem, trochę jak złodziej, trochę jak lis, drzwi nagle otwarła jakaś obca pani, więc oblała się niebacznie rumieńcami, oblała się potem, a potem...

Nacisnęła na guziczek i usłyszała jego zniekształcony domofonem głos: Przyszłaś za wcześnie, jest za dziesięć siódma, proszę poczekać i zjawić się na czas — zanim zdecydowała, czy poddać się w pokorze, czy też zniknąć znowu na wieki, wrota rozwarły się nagle i coś jak poryw huraganu wciągnęło ją w ciemną klatkę schodową. Przemierzając jakby jeszcze z wahaniem schodek po schodku, usłyszała jego łagodny, pieszczotliwy, czuły głos: Chodź już, chodź, nie bój się, zaraz się z tobą rozliczę, ściągaj spódnicę, będzie lanie... — jednym ruchem ręki przeciągnął ją przez próg i wrzucił do pokoju, który pamiętała sprzed kilkunastu lat, posadził na kanapie, po czym rozpakował czekoladki i zrobił herbatę. Następnie usiadł zwyczajnie obok niej. — Dlaczego tak zrobiłaś, powiedz, to, co prawda, nieważne, ja sobie poradzę, ja jestem silny, ja się nikomu nie dam, ja nikogo się nie boję, ja stałem się nie do złamania, ja stałem się sławny, ja pośmicwisko, ja biedaczysko, ale powiedz, dlaczego tak zrobiłaś??? — on naprawdę patrzył jej uważnie w oczy i naprawdę w napięciu i wielkiej koncentracji oczekiwał jej odpowiedzi. — Czy ty mnie wówczas kochałaś? — Czy cię kochałem? — uśmiech-

Anna Maria Birkenwald

(Brigitta Helbig)

nał się z przekąsem, potem zaśmiał się zbyt hałaśliwie i odsunął się o parę centymetrów. — Kochałem cię od zawsze... Kochałem cię jak wariat, kochałem cię jak idiotę!!! Zawsze wiedziałem, że jesteś wulkanem namiętności, ty myślisz, że tego nie widać? Zawsze wiedziałem, że tylko z tobą mógłbym być artystą, że ty mi na to pozwolisz, że nie zamkniesz mnie w mieszczańskim świątku, takich okazji miałem w życiu dość, już łóżeczko w tym miejscu stać miało, już narzeczona koszule prasować i ograniczać mnie chciała, zawsze wiedziałem, że jesteś prawie tak jak ja, że mnie przynajmniej rozumiesz, że życie nasze pucharem byłoby radości... Kochałem cię całymi latami... Może powiesz, że o tym nie wiedziałaś? Może powiesz, że byłaś nieświadoma? Że wolałaś tego fircyka albo tamtego błazna? Że myślałaś, że jestem takie nie wiadomo co?

Magdalena miała ściśnięte gardło. Magdalena miała oczy pełne łez... Morze łez wzbierało i falowało jej już w piersi, patrzyła mu mężnie w oczy, to znów uśmiechem jakimś głupim i pokątnym ratować się próbowała, pragnęła coś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, lecz z ust jej wiecznie popękanych i suchych wydobywał się tylko paskudny i niewdzięczny jakiś bełkot. Jedna dłoń jego, delikatna, ukochana dłoń artysty, która niegdyś wydawała jej się zbyt kobieca i zbyt piękna, spoczywała na górnym brzegu kanapy, i to ona okazała się ratunkiem. Dłoń tę zaczęła pieścić i całować na przeprosiny. Przygarnął ją mocno do siebie, zamiast łącać, bić i mordować zaczął rozpieszczać ustami jej twarz, jej usta, jej oczy i włosy. Tulila się do jego piersi, do jego policzków, i mamrotała upojona pod nosem: Tylko troszkę, chociaż troszkę, chociaż troszeczkę... — Ładne mi troszeczkę — wyrwał ją z odmętów jego głos — ładne mi troszeczkę, ja już jestem gotowy do wszystkiego... — a potem patrzył na nią tak, jak się patrzy pierwszy raz, jak patrzy dziecko na motyla, albo na dżdżownicę... Patrzył dokładnie, patrzył z bliska w jej oczy i twarz. Wiedziała, że żadna zmarszczka, żaden rozmazany makijaż, żaden błąd w malarskiej sztuce, żaden czas ślad nie ujdzie jego uwagi. — Mam już siwe włosy — wyjąkała. — Wiem, już widziałem. Będziesz ich miała coraz więcej, lecz kiedy przyjdzie starość, nie broń się proszę, nie farbuj włosów, nie wzbraniaj się czasami... — i patrzył na nią dalej, dokładnie i badawczo, łagodnie i władczo, i czule i gniewnie i chciwie, aż w końcu wypowiedział swój pamiętny wyrok: Nie żadna tam pierzchająca... Jeszcze nie pierzchająca... Wyglądasz jeszcze młodo, naprawdę Magdaleno, a ja? Powiedz, a ja? — Ach, ty narcyzie — uśmiechnęła się zalotnie — ty narcyzie, masz piękne włosy, takie złociste, powiedz, czy farbowałaś? — Nie, to od słońca, naprawdę nie farbowałem... A ty mi pokaż swoją łapkę, pokaż, no pokaż, czy ona mogła-

Pałowa. Historia upadku (fragment dzieła literackiego)

by jeszcze grać? — Potem rzucił ją nagle na plecy i rozbierał począł, a cały czas uśmiechał się przy tym, zdierał i zrzucił z niej wszystko, i z siebie trochę też, nie chciała pokazać mu swych piersi, gdyż właśnie do połowy na słońcu je spaliła, więc raziły rozognionym różowym kolorem, oczywiście, co gorsza, tylko do połowy, potem zaczynała się pod krechę biel nagle śnieżnobiała, ohyda po prostu ten róż i potem ta krecha i ta biel, to po prostu odrażające, tego nie może mu za skarby pokazać, nawet za cenę pozbawienia się uniesień upragnionych i grzesznych, nie pokaże mu tego za skarby, krzyczała, że nie, że nie może, że po prostu ohydnie wygląda, że właściwie nie miała tego w planie, że jest umówiona z rodzicami na kolację, że myślała, iż on ją zabije, a tu proszę co dzieje się nagle, że właśnie się opalała i jest cała czerwona i wstrętna, machała jak wentylator rękami, a on uśmiechał się i patrzył i rozbierał, próbowała zasłonić je rękami, a on uśmiechał się po prostu dalej, lecz to nie były żadne żarty, żaden sen, rozłożył nagle obie jej ręce, wierzgające z dziką desperacją, z całej siły przycisnął je do kanapy i zaczął patrzeć z uwagą na jej piersi. A ona rzucała się jak ryba. Jak nieokielznany młody żrebak na murawie. A on uśmiechał się, ręce do kanapy jej przyciskał i tylko patrzył uważnie i do syta... I był to moment, w którym zrozumiała, że to na serio, że to nie zabawa, że on jej nie posłucha, że nie ma wobec niego żadnych szans, że on i tak już wszystko zobaczył, że on jest silniejszy, że jest górą, że dalszy opór nie zda się już na nic, że to zupełnie na poważnie, że tu na żarty miejsca nie ma, że musi stawić czoło tej okrutnej kompromitacji, że musi się po prostu poddać, chociaż krwawe rumieńce wstydu zalewały jej piersi i twarz. Jeszcze trochę się szarpała, jeszcze bełkotała, mamrotała, ale już zaczęły ją ponosić wyżyny i niziny namiętności, żądz i rozkoszy, niepojętej, rozszalałej, dzikiej. — Wyglądają strasznie, okropnie, ohydnie, aż strach na nie patrzeć — znęcał się nad nią, nie odrywając wzroku od jej piersi, leżała jak pod pręgierzem, zawstydzona, skompromitowana, upojona i odurzona, i oto twarz jej przeciągnęła owa mgła, skurcze poprzecinały ją i zniekształciły, szczyty piersi prężyć się zaczęły, jednym ogniem wielkim i szalonym stało się podbrzusze całe, a potem nie wiedziała więcej nic, nie chciała już wiedzieć, co się dzieje i jak to jest możliwe, unosiła się tylko, a unosząc opadała, żyjąc umierała, co tam bełkoczesz, pytał ją czasami, bywało, że wracał jej na chwilę wzrok i widziała pochylone tuż nad sobą oczy jego, wiecznie otwarte i niebiesko-szare, rozkoszujące się widokiem jej skrętów, skurczy i konwulsji, i jego ciągle uśmiechnięte, jego zaborcze usta. — Widzisz, widzisz, byłoby tak dziesięć razy dziennie, gdybyś wówczas chciała ze mną być, latałabyś po ścianach — szeptał, wmuszając jej wargami czekoladkę do

walczących o powietrze ust — traciłabyś przytomność, zawiódłbym cię aż po sam kres... Ale nie, ty tylko o tym swoim ciapciusiu zielonookim niedorozwiniętym marzyłaś, wiesz czego ty tak naprawdę chciałaś, ty wstrętna zbereźnico, ty chciałaś się po prostu z nim różnić, powtórz natychmiast to słowo. Powtórz, naucz się normalnie mówić. Nie tam nieśmiertelne girlandy chwały, jak w twoich wypracowaniach, których słuchałem wówczas jak dzik grzmotu, cały zakochany i zakompleksiony. Skąd ty w ogóle znałaś takie słowa? Powiedz: chciałam się z nim różnić, powiedz: przetrząć drzewo piłą, no mów, no już, otwieraj usta! — Magdalena milczała i wargi mocno zaciskała, udawała, że nie wie, o czym mowa, zapierała się i rumieniła, nie chciała nic powtórzyć za skarby, takie świństwa straszne jakiegoś mówił i zbereźne, po prostu fuj, aż wstyd, przenigdy takich rzeczy nie powtórzy... Wsunęła więc tymczasem propozycję: A może by tak ja — jąkała się cała w płomieniach — a może bym tak ja sprawiła ci jakąś przyjemność? — Nie trzeba, zachnął się czule, nie trzeba, kobieta nie musi — i oto słowa te zabrzmiały jak muzyka. W jej delikatnych, wymanecypowanych uszkach słowa te zabrzmiały słodko i upojnie jak muzyka. Kobieta nie musi... Jak to dobrze, jak to miło, jak przyjemnie to usłyszeć... — Zostaw, na pewno nie umiesz, na pewno jesteś rozpieszczona i nie umiesz, widzę to od razu po tobie, że nie nie umiesz, kompletnie nie... — uśmiechała się tajemniczo, głaskała go po pięknej, nagiej piersi, ocierała o niego swe policzki, rozkoszowała się świadomością poddania tym delikatnym, tym genialnym dłoniom, czyniącym z nią cuda niestworzone, upajała się kontrastem owych dłoni z jakże męskim głosem i jakże męską pierśią jego... — Zawsze wiedziałam, że jesteś geniuszem — mamrotała bez ładu i składu. — Geniuszem może nie — sprostował skromnie — może tylko fanatykiem, a może i geniuszem, kto wie... — Nie przejmuj się, ja też — odważyła się wtrącić cicho. — Wykluczone, to nie wchodzi w rachubę, nie jestem za równouprawieniem — pocałunkami zamknął jej usta, nie wiedziała, czy mówi poważnie, czy żartuje, i nagle ogarnęła ją cała znana jej już dobrze z dni odległych, błoga, podstępna, zwodnicza, złowieszcza, niebezpieczna i zabójcza świadomość niewieścia, że faktycznie, że naprawdę nie chce już żadnego równouprawienia, nie chce i nie musi osiągać już nic, że pragnie tylko, aby on ją posiadł, on wielki i sławny, on geniusz, on artysta, on jej władca i pan, a ona chce tylko błyszczeć odbłaskiem jego chwały, żoną, kochanicą, niewolnicą, służebnicą mu być, dumą pro-



mieniować cała, że oto stoi u boku jego i że wolno jej prasować mu koszulę, rodzić dzieci, obierać kartofle, chronić przed stadami wielbicieli... Czegóż miałyby chcieć więcej, czyż nie byłoby to najwyższym orgazmem, którego nigdy przecież jeszcze nie doznała? Spełnieniem wiecznym i permanentnym?

Jedno spojrzenie na zegarek wyrwało ją z odmętów i wirażu... Potem wszystko było już jak w przyspieszonym, biało-czarnym filmie. — A teraz leć szybko pod prysznic — rozkazał i wepchnął ją do wanny, znowu myślała, że to żart, stojąc plecami do wanny i rozmawiając z nim jeszcze, podczas gdy on ją do tej wanny wpychał, nie miała się za bardzo o co trzymać, myślała znowu, że to żart, aż do momentu-szczytu, kiedy wepchnął ją tam naprawdę, aż opalone do czerwoności plecy otarły się boleśnie o emalię, aż coś w niej mocno zawyło, coś za słodki i rozkoszny ból, potem wydał jej następny rozkaz:

podniecająco sam widok męskiego ciała? To nie wystarczy, kobieta to nie mężczyzna, rozumiesz, samo ludzkie ciało to jest nic, budzić może co najwyżej obrzydzenie, podobnie jak sperma sama, fuj ohyda, to mi się wcale nie podoba, nie mogę na to patrzeć, na wymioty mi się wówczas zbiera, samo ciało to jest zupełnie nic, to jest mięso, to materia, żądze budzi bujność intelektu, eksplozja osobowości, nadmiar tożsamości, zdolność do ascezy i ekstazy, pasją pulsowanie, głosu połamanie, w słowach, w rytmach rozkochanie.... Nie samo tam patrzeć, dotykane, w odpowiednim miejscu wibrowanie. Seks zresztą rodzi się w głowie, nie w oczach, nie w organach, tylko w głowie, seks wymaga, czegoś on wymaga... — Ale chociaż maluteńkiej takiej żądźki nie budzi? — przerwał oratorskie jej zapęły i błagał o odpowiedź jak dziecko. — Ty narcyzie, ty zmanierowany — pieściła go słowami i uśmiechem, dręcząc zarazem okrutnie i odmawiając jednoznacznej odpowiedzi... — A może ty mną teraz gardzisz? — myśl niezwykle trafna i uduchowiona przyszła jej nagle do głowy. — Gardzisz, tak, gardzisz, oczywiście, że tobą gardzę, Magdaleno —

Prasuj sukienkę — rzucił żelazko, wskazał stół, prasowała więc szybko i półnago, kryjąc się trochę i kurecząc i wijąc, udrezczona strasznymi kompleksami. — Cóż to, czy ty się mnie wstydzisz? — przstraszył ją jego głos. — Nie, nie, skądże — jąkała się, czerwieniąc znowu — Ja niedługo schudnę, naprawdę schudnę, schudnę siedem kilo! — usprawiedliwiała się pośpiesznie. — No dobrze — zgodził się łaskawie — niech będzie siedem, no, ewentualnie siedem i pół, bo osiem to stanowczo byłoby już za dużo — wybuchnęli nagle śmiechem obaj, potem jeszcze biegali po mieszkaniu, on nago, ona w sukni czarnej, wentylator pod sukienkę jej wkładał, bo strasznie gorąco było, potem pytał kilkakrotnie natarczywie: Czy moje ciało nie budzi w tobie dzikiej żądzy? — Żądzy? Dzikiej? — udawała straszne niewiniątko — Jakiej znowu żądzy? Jakie ciało? Czyż nie wiesz, czyż nie czytałeś, że na kobiety nie działa

triumfował — Naucz się normalnie mówić, dziewczyno, skąd ta twoja ponura egzaltacja, naucz się używać zwyczajnych, ludzkich słów, już cię przecież uczyłem, a ty ciągle z tym swoim gardzisz, wzgarda, poniżenie, pokalanie, nieśmiertelne girlandy chwały...

Co było później, co było potem, co tam jeszcze się zdarzyło, co tam jeszcze im się śniło, pamiętała tylko tyle, że on potem jeszcze grał, długo, namiętnie i nago grał na jakimś olbrzymim, czarnym instrumentcie jakąś olbrzymią, gigantyczną muzykę, a z niej opadły siły wszelkie, napięcie ogromne ustąpiło, wszystkie mięśnie rozluźniły się nagle, osunęła się do jego stóp, rytmem całkowicie odurzona, miłość nasza grzeszna, zgubna, miłość nasza jest nieślubna, ja szaleję, gdy słyszę twoje granie, pragnę zostać ci struną w fortepianie, w fortepianie będę żyła, będę spała, twoja dłoń mną będzie szarpała, kiedy twoja ręka będzie grała, będę gięła się, prężyła i płakała, kiedy dłoń twa rozkaże, będę drżała, choć kolana, choć kolana rani skała... Magdalena wpęzła jak zwierzę pod fortepian i położyła się tam na podłodze, zwinęła się w kłębuszek jak kotka, jakoby embrion w matczynym łonie. Ze wszystkich stron wdzierala się w jej ciało gigantyczna muzyka dawnych mistrzów, wielka, olbrzymia, niemiecka, pozornie pełna harmonii, pozornie konfliktów pozbawiona, a dławiąca się nimi od spodu, a konfliktami tymi podszyta, dająca niesamowite jakieś świadectwo o niewydarłej dotąd światu tajemnicy, o pokładach drzemiących w nas przepaści, nieskończonych potencjalach genialności i ohydy, o straszliwych wzlotach i tragediach, rozszarpujących nas na strzępy, o niedotrzymanych przysięgach i obietnicach naszych, o zdeptanych ludzkich sercach i ideach, o strachu przed grobem ciemnym, przed ziemi czarnej grudkami, przed ogniem wiecznym a piekielnym, przed starością, samotnością i porodem, przed uschnięciem, śmiesznością, odrzuceniem, przed nieudanym wierszem, przed opadaniem szczęki w czasie snu i mlaskaniem podczas jedzenia, przed straszliwymi zobowiązaniami, przed teściami i zięciami... i o ekstazie życiowej naszej, o pragnieniu poklasku i podziwu, o radości tej dziecięcej w obliczu wiosen tego świata, o tych słynnych już dziecka oczach, niechaj zawsze będzie niebo, niechaj zawsze będzie słońce, niechaj zawsze będzie mama, niechaj zawsze będę ja, o tym, że Bóg na pewno jest, i o tym, że Go przecież nie ma, o tych strasznych oszustwach i iluzjach, i o zgubnym popędzie, co nas nosi, o tym, że herosami i przestępcami jesteśmy, chociaż być nimi nigdy nie chcemy, o wielkości i marności i nieśmiertelności oby naszej, o niemożności szczęścia choć przez chwilę, bez tego, aby nie padł jakiś trup, o życiowych pomyłkach strasznych, o przeblaskach wielkiego olśnienia, gdy już nie ma nawet cienia wątpliwości, o miłości największej i jedynej, miłości, co zaistnieć nie może... Magdalena leżała nieprzytomna pod fortepianem i już nigdy-nigdy-przenigdy nie chciała się obudzić. Nie wiedziała, czy to fortepian, czy to trumna, lecz już nigdy nie chciała stamtąd wyjść. Nie chciała przeżyć tego, co miało być potem, nie chciała przeżyć absolutnie więcej nic. Bo za późno jest, zawsze za późno, bo nie można szczęścia budować na pomnikach cudzych pocałunków, które zastąpił już bezduszny seks, bo nie można się kochać na zgłiszczach, bo przecież miłość jest tylko naszą zgubą, ona niszczy, rujnuje i niweczy, patrz jak domy, balkony padają, historia całych mieszkańców bierze w łeb, tylko głosów jeszcze słyszysz pęd, tylko groźby, wyzwiska i przekleństwa, tylko kłątwy za

tobą miota wiatr, a ty pędzisz po ruinach na wpół zgięta, wzniecasz tylko kurz i budzisz psy... Nie oszukasz obłąkanej ziemi, nie oszukasz niedoświadczonych snów i odmówi ci kiedyś strzępów gruntu, jeśli będziesz wyciągać tak ręce, kto to tak, kto to tak biegnie, czy to wiatr popycha twoje opieszale włosy, czego szukasz po tych alejach, wycia licha, klucia pokuszenia, czy ty jesteś może opętana, czy to tylko ten fortepian, tylko bies, i nie ustanie ta szatańska gonitwa i ten syreny, ten zwoźniczy śpiew... Magdalena nie chciała się obudzić. Nie chciała nigdy z tej kryjówki wyjść. Nie chciała nigdy przestać słuchać tej muzyki. Przeżyć tego, co miało być potem. Co miało jeszcze być. Mieli biec na postój taksówek, miał z nią w taksówce z tyłu siedzieć, ona miała tłumaczyć kierowcy, niech pan stanie, niech pan tu stanie, on zaś miał wyśmiać ją głośno, tak ażeby taksówkarz słyszał: Co ty mówisz, jak ty brzydko mówisz, STANIE, jak to stanie, co to znaczy stanie, te kobiety tylko jedno w głowie mają, ZATRZYMA SIĘ, mówić należy — a potem ona-ona-nieświadoma jeszcze raz z tym „niech pan stanie”, a on i ten taksówkarz znowu na nią, że taka seks-bestia, jak w amerykańskim jakimś filmie, w jakiejś olbrzymiej bez dachu limuzynie, pędzącej po ogromnym moście, nad wzbierającą, przekraczającą wszelkie wymiary rzeką bez brzegów i bez dna, pod walącą się z niebios muzyką... Nie chciała już tego przeżyć. Nie chciała nigdy wyjść spod fortepianu. Nie chciała po powrocie na wygnanie wić się z bólu, czytając taki list:

Wie hast du dich, mein Gott, / in meiner Not, / in meiner Furcht und Zagen / denn ganz von mir gewandt? / Ach, kennst du nicht dein Kind? / Ach, hörst du nicht das Klagen, / von denen, die dir sind / mit Bund und Treu verwandt? / Du warest meine Lust / und bist mir grausam worden. / Ich suche dich an allen Orten, / ich ruf und schrei dir nach, / allein mein Weh und Ach, scheint jetzt, als sei es dir ganz unbekannt.

Szlag by Cię jasny trafiał, Magdaleno, wtedy tak bardzo wszystko skomplikowałaś, właściwie lepiej — uprościłaś, okrutnie uprościłaś, wydając wyrok właściwie na samą siebie. I pewnie tak Ci już jest przeznaczone, że popadasz z nieszczęścia w nieszczęście, tylko czy coś z tego wynika? Dlaczego nie chciałaś, dlaczego nie umiałaś spojrzeć ponad? Spojrzeć przeciwko? I skazałaś, i nas skazałaś! Bardzo to wtedy przeżyłem. Czulem się taki niepotrzebny, niechciany, odepchnięty, wystawiony poza nawias społeczeństwa za muzykę. I Ty osobiście przyłożyłaś do tego swoją jakże delikatną rączkę. Najokrutniejsza ze wszystkich oskarżycieli — milczący, odwrócony ekspresyjnie. Nie, nie oskarżam cię, byłaś zbyt wygodna i zbyt słaba. A poza tym był bóg-Ciacpius, bóg jeziorolśniących-wód, bóg koloru zielonego. Pewnie Cię i kochał, zgwałcony żądzą Twoich uczuć, bo i jakież mógł mieć wyjście, biedaczysko. Przyznaj, że na miarę jego możliwości emocjonalnych zachowywał się i tak godnie, podziwiam go. Co prawda tak rozkapryszonemu chłopczyka, teraz już faceta całą gębą, nigdy więcej nie spotkałem. Ciebie zawsze pociągały jakieś zmanierowane typy, ot choćby i ten człowieczek — Ciacpiurek Cicipiński — prawda, jaki milusi? Su-

mionko klasy. Pastby cię na sznureczku, grzecznie, jak nobliwy, dystyngowany pan swego pudelka, jak dobry pasterz jedną ze swej trzódki, i nawet nie wiedziałabyś, kiedy doprowadziłby cię, niepokalaną rzecz jasna, na dwóch łapkach do samiusiej ochronki... Miałem cię nie spotkać już więcej, co było ukartowane z góry, a jakże, przez Ciebie samą i twoje najlojalniejsze psiapsiółeczki. No i czemuż ta obłąkana Psiapsiunia tak cię chroniła? Może mnie chciała uchronić? Najchętniej to zagarnęłaby mnie na własność, na swój prywatny, wyłączny użytek. Jako prywatnego sekretarzysty, kamerdynera bez obowiązków. Miałbym jej pewnie grać, a ona zaplątałaby dłonie w moje włosy, rozpaczając nad wszechotaczającą ją marnością... I później Cię nie widziałem. Cóż mi pozostało w tym świecie do góry nogami? Przerażał mnie i przytłaczał, to ja byłem pewnie do góry nogami, a nie świat. Ta muzyka to przeżytek, to szajs. Musiałem być mocny, musiałem być silny, musiałem być nie do złamania. I żyłem dalej. Żyłem pomimo. Żyłem na przekór. Żyłem ponad. Żyłem według własnych zasad, a nie czyichś tam, niby lepszych. I w całej desperacji potrafiłem jeszcze w środku życiorysu stawić czoła wszystkiemu i wszystkim. I stałem się silny, i stałem się mocny, i stałem się nie do złamania. I stałem się nieczuły na własny ból. A Ty? Ty nie umiałaś pokonać siebie. Nie chciałaś umieć. Trudno uwierzyć w Twoją słabość, w Twą chwilową nietrzeźwość umysłu. I gdyby ktokolwiek kiedykolwiek mnie zapytał, czy aby na pewno jestem szczęśliwy, odpowiedziałbym, że tak, aby na pewno jestem. W obliczu tych okoliczności, które nastąpiły, zrobiłem wszystko, aby nim być. No więc jestem. Jestem teraz panem własnego losu i wierz mi, nic tak nie cieszy i nie uspokaja, jak własne, niczym i nikim nie zmażone poczucie własnej tożsamości. I po tych wszystkich latach naraz zechciałaś mnie odnaleźć, zechciałaś mnie zobaczyć, zechciałaś mnie dotknąć, choć to nie byłem ja... Droga, kochana Magdalenol! Żyję w tych dniach pełen wątpliwości, pełen zapomnianych doznań i zakazanych uniesień. Czy musiało się to kiedyś tak potoczyć? Kochana moja, co będzie? I cóż, że będziemy mocni, i cóż, że będziemy myśleć, wspominać, przeżywać wciąż od nowa, tęsknić, żyć nie żyjąc naprawdę, upajać się okruciami z rozbitego pucharu radości, którym byłoby wiadomo co. I CO Z TEGO? Dręczy mnie bezsilność, okrutna, ściskająca za gardło niemoc, którą musimy dziś dźwigać oboje. A moja wolność, którą tak bardzo się delectowałem, staje się, sam nie wiem, klątwą, skargą, czy może jednak błogością, zbawieniem? Wiem jedno na pewno: nie byłabyś mną rozczarowana. ANI JA TOBA!... A Ciebie po prostu tutaj nie ma! Z trudem podnoszę głowę, by spojrzeć na zalany słońcem, nieobchodzący mnie świat. Czy to wszystko było naprawdę, czy to wszystko w ogóle się zdarzyło? Jakiś nieprawdopodobnie piękny sen. Stoję w jego obliczu, jego refleksu, zupełnie oniemiały, bezbronny, bezsilny, odurzony... i rozpamiętuję raz jeszcze, raz jeszcze, od nowa, zupełnie jakby niemy stary film, trochę przyspieszony, kompletnie zwariowany, na granicy realności i fantazji.

CHÓR

on nie ma dla mnie czasu
czasu dużego szalasu
więc komputer swój ujmuję
i się nim narkotyzuję

ton dzisiaj dziwnie hardy
na usypiskach kokardy
a nad parowem koronki
w kropeczki jak u biedronki

zostaw mnie jestem wolny
ja jestem młody i zdolny
ja dzieło zostawiam po sobie
nie mieści się to w twoim żłobie

zostaw mnie jestem geniuszem
ja wolny ja tworzyć ja muszem
ja muszem ja mogem on tworzy
aż do porannej zorzy

gdyby nie sprawa z tą zorzą ranną
słuchawkę pierdolnąłbym dawno
ach gdyby jeden pocałunek
gdyby nie mój szacunek

żebyż się tyle nie trudził
żeby tak tu nie paskudził
ja przecież to wszystko wiem
ja przecież te słowa jem

ja każde z nich przełknąć muszę
ja przecież mam ludzką duszę
ja pragnę i łaknę dobrego
nie zmusisz mnie do niczego

ja jestem jamuszem jamuszem
ja ciebie ja chyba uduszę

ton dzisiaj dziwnie hardy
na usypiskach kokardy
koronki nawet nie tknięte
kokardy wcale nie zmlęte

a co ty myślisz sobie
że ja to nic nie robię
że ty mnie nie uraziłaś
a co ty właściwie sądziłaś

a co — a tam — a siam
tratatatam tratatatam

ja oddam ja nie chcę zabieraj
nic nie rób nie dawaj ubieraj
ty forso ty sknero ty lupol
ty wydrążona skorupol

a miało być już wesele
a ton ten był jako słup
w młodym ciele już za wiele
w młodym ciele młody trup

te wonne podnóża
kremowane rano
ra zwinęta róża
pod koronką białą

to ciało to jest tak mało
to białe ciepłe ciało
to ciało się zachciało
to ciało się przyplątało

peng peng peng
to z wyrwy urwał się jęk
zostały kokardki koronki
w kropeczki jak u biedronki

ja zrobię porządek w chałupie
lub sobie nowy domek kupię
i będę żyć na innym słupie
i mieszkać na swym własnym trupie

ja nie mam dla niego czasu
czasu dużego szalasu
gdyż komputer swój ujmuję
i się komputeryzuję

to dusza to tylko dusza
tak się dumnie naburmusza
mimo że w podbrzuszu susza
nie chcę? męża? mieć? geniusza?

CHYBIONA INWESTYCJA

Jeżeli już nie możesz pracować ani żyć, to przynajmniej szyj. Jeżeli nikt już słuchać cię nie może, bo obrzydły im twe jęki-stęki, zmagania duszy zmielonej, to przynajmniej szyj, ale tak, by ktoś raz jeszcze zechciał to przymierzyć, żeby wrzucił se to jarzmo choć na chwilę na zgarbiony kark, mimo że innych płaszczy miewa dość. Ty byś też czyjś płaszczyk przyodziała choć na chwilę, ale rzadko ci się ktoś zgłasza. Bo ludzie strasznie siem bojom. Bojom się nawzajem siebie. Dawać przymierzyć płaszczę swe. Ty zaś uzurpujesz sobie prawo do położenia się na tory na długo przed przyjazdem pociągu. Do przymierzania komuś płaszczę swego, by zobaczył, jak od środka on kłuje, do rzucenia się na tory prowokuje. Samaś zresztą go uszyła, samaś winna sobie. Chodź se teraz sama w tej ozdobie. Należałoby od razu się zabrać, bez tych wstępów, wyglupów, rozdrażniania. Ale o tym też już dawno wszędzie mowa. Stryczków wszędzie jest pełno i na to nikt już się nie załapie. Co i komu chcesz dać do zrozumienia. Nie zwojujesz tutaj prawie nic. Jeśli już nie możesz dalej, to choć bliżej, to przynajmniej chociaż sobie szyj, a igłą ukłuj kogoś przy okazji, zawsze to lepsze wyjście niż tamto. Jeżeli spotkało cię największe szczęście świata, a przynajmniej tak sądzą wszyscy ludzie, bo nie znają podszewek twych — to zamknij pysk i nie wyj, bo nikt i tak ci nie uwierzy. Daj im najwyżej przymierzyć. Siedz na dupie poza tem i pracuj. A jeżeli naprawdę już nie możesz, jeśli jesteś śmiertelnie zmęczona, kompletnie wycieńczona, wyłobiona? Każdy już był i każdy jest, i śpiewaj alleluja albo znikaj, ale tak doszczętnie. Wiesz dobrze, za co miłość jest. Nikt ci nie fundnie sanatorium. Forda capri nikt ci nie kupi. Nie ma lekko. Albo wcale nie ma. Jeżeli pora-

nił cię ten, którego kochać całym sercem chciałaś, z którym o odpadkach szczęścia marzyć śmiałaś — to siedź cicho, przeżywaj skruczę i nie rycz, bo to losu zemsta i jedynie słuszną sprawiedliwość. Twoje życie zdąży ku szczytowi. Wszystko zmierza ku temu wzgórzcu, ku tej skarpcie wysokiej i stromej. Będiesz wywyższona, lecz nie wytrzymasz. Zabezpiecz se więc środki i szyj. Przez noc i dzień. Stałaś się spokojna, snujesz się jak mgławica, wyjiesz jak wilczyca, od czasu do czasu ukłuciem igły przywołujesz się do porządku i szyjesz na najwyższych obrotach. Schudłaś, tak, to prawda. A mogłaś osiągnąć tak wiele. Bo miałaś predyspozycje. Tak powiedział już niejeden mąż. To jedno z twych największych osiągnięć. Ten, o którym myślisz, nie dostrzega tego, ani zresztą wielu rzeczy, które wydają ci się ważne, a nie jego są. On wszystko wie i rozumie, tylko czasu nie ma. I słów wielkich wypowiadać nie chce. Nie zareagował na twoje wyznanie. Jakby tobie to ot tak sobie przez serce przechodziło dla rozrywki. Bo słowa nie nie znaczą podobno, tylko czyni. A ty już niestety taka jesteś, że trochę lubisz słowa. Że czasem lubisz perwersję nawet słowną i słowa w nadmiarze i w pucharze, nawet gdyby miały przestać przez to być. Ale nie — słów nie dostaniesz, ucha nie wyciągaj więc ciekawie i nie rób z niego tuby patefonu. Nie wyteżaj się tak do telefonu. Kocha nie kocha — w każdym razie nie powie. Albo może kiedyś łaskę tę uczyni, jeśli bardzo będziesz niegrzeczna. A ty skąpstwa nie lubisz strasznie. W życiu ani w szyciu. W forsie ani w mordzie. Paplania i trwonienia przy każdej okazji z drugiej strony też nie. Ale jeśli już, to już. Czasami. Ale wtedy szczerze. Nie samo kocham. Ale i cię. Nie tylko cię, ale i jak. Bo ty nigdy nikomu nie żalujesz, nie racjonujesz, nie obracasz jednostki cztery razy, jeśli masz, to dajesz, jak nie masz, to też nawet udajesz, że dajesz. I to jest wielki błąd. Wczoraj spędziłaś dwie godziny, szykując się na ten mecz. Musisz zmienić, musisz zmienić taktykę. Sygnalizujesz jak światła na skrzyżowaniu. Daj się długo zdobywać — mówi horoskop. Cholera, taka dziewczyna — mówi jeden chłopiec. Cholera, skąd oni biorą takie dziewczyny. Po cholerę było się tak myć, peelingować, kremować, perfumować, tapetować, przystrajać całymi godzinami. Po cholerę było cały miesiąc rozkoszować się żądzą, palącą jak rozgrzany termofor po piersiach, po udach i brzuchu. Ślina napływała ci do ust na wyobrażenie jego pocałunku, jego mokrych, bezkształtnych warg. Bo pocałunek to dopiero jest stosunek. Całujesz go, pochłaniając, pijąc z niego wszystko co się da, sączysz wino, wyżymasz ślinę z jego ust, jakbyś usychała całymi latami. Nie przyjmujesz żadnych innych płynów. Pokarm tylko i wyłącznie z jego ust. Po cholerę było przywoływać te obrazy. Po cholerę było wspominać. Po cholerę było trwonić czas i wydawać fortunę na jakieś przebrzydłe koronki, wymyślne stroiki, wabiki, prezenty, telefony. Po cholerę było nie rozumieć. Nie wczuć się w niego, że nie może. Że nie do ciebie należy, lecz do świata. I to ciebie też tak rozpala. Ten twardy, nieugięty słup. Nie to że nie chce, lecz nie może. Bardzo mnie dzisiaj zraniłeś. Po cholerę było to mówić. Po cholerę było przyznać się do bólu. Po cholerę było przeżyć potem to żelazne, ostre pouczenie. Na temat wolności, niezawisłości i sknerstwa programowego. Czymże zasłużyłaś so-



CHÓR

Nju Ejdz

przyszłam tu lecz dziwna rzecz
ta biblioteka mnie biblioteka
czuję jak się rozmywam coraz bardziej
staję się przejrzysta czy to wpływ
nadciągającej chimery hop siup
spod znaku Akwariusza lecz dlaczego
akurat tutaj w tej polskiej czytelni
pod przypływem zapalających się
przy stołach światel
pod pozorem lenistwa pod zarzutem pracy
pod osłoną grzecznej
zawsze smutnej pani bibliotekarki
mnie dopada
któremu wypowiedziałam
wypowiedziałam po co
rozklada mnie tu błogo pieści bałamuci
skąd się bierze ta słodycz
ten błogostan dekonstrukcja
całe ciało toczą mi już mrówki

patrz długopis wypada mi już z rąk
buty majtki prują już z jej nurtem
odpłynęły już ich nie dopadnę
bo syreny zawodzą tam syrenki
ach poddaj się oddaj
niech cię fale niech cię prądy
więc puść się tylko puść
nie musisz czynić nic więcej
bo wszystko tu płynie płonie
w wodzie w ogniu stoi świat
więc błagam
rozplączę ci węzły
rozprzęgnę cię rozwiążę czy rozumiesz
o ty święta krowo
ty fallusie ty Hindusie ach
narcyzy do nieba
oddajcie im oddajcie
urząd stanu rządu dusz
i koniecznie jeszcze Watykan
ubiegamy się o prawa naturalne much do duchów
kobiet do brzuchów
pojdziesz
kim naprawdę jest kobieta
czy męczyzna matka czy córka
prześwit czy cień
nie wiesz żeś orłem sokołem trawą
ach jakbym chciała
trawą być ach trawą być ach trawą być
i na wyspach Bergamutach
soki z gleby pić
unikniemy wojen i głodu
bo Królestwo Boże na ziemi
zaprawdę jest blisko
rewolucja
tym razem przyjdzie jak złodziej
na palcach bez krwi
bez wypraw krzyżowych
słodka delikatna jak Ewunia
tańcowała ryba z rakiem a pietruszka
z pasternakiem cebula się dziwowała
jak pietruszka tańcowała hej
z jednej strony „zabobony”
z drugiej strony rozum zuch
świat na opak hulać dusza
wszyscy będziemy braćmi
a tu krew krew i krew
u źródeł dyskursu krew
zamiast wody krew
pamiętaj będziesz wielkie SAMO
o ty wyzwolenie o ty odrodzenie
o ty inicjacja o ty masturbacja
„o ty pokorne ty naiwne ciele
o zboliałych kolanach ciemny osle
z sercem na dłoni grzechem w oczach
ty frajerze lajdaku obłudniku
ty co piałeś pijany na pasterce
co zdradzałeś żonę w stogu siana
o coś skomlał u stop konfesjonału
co robiłeś w puchowym styropianie
czegoś szukał po nocach w fortepianie
czemu w łożu biskupa kochanica
jakże mogła urodzić dziewica”
kto powiedział że kury są głupie
ile much może zmieścić się w zupie
czemu strącasz wciąż cudze poprzeczki
skocz ty lepiej

glizdo do rzeczki
czy to sen czy to mara
czy to Bóg czy to wiara
a na rzece unosi się już krzyż
żaby kraby a kysz a kysz
oceany zaleją nasze łądy nasze morza
rozdziobią nas kruki i wrony nadchodzą
**NOWA ERA CZAS PRZEJŚCIOWY HUZIA NA
JUZIA**
transgresja transpozycja transformacja
trans trans trans
tranzyt droga na skróty podróż w głąb
i oto z glizdy
rozwija się motyl
unosi się popod wodami a imię jego
imię tylko po ile ten bilet
ta przejażdżka błoga po ile
oddam wszystko za frajer
bo gówno jest warte panie
po ile ten bilet
nie pchaj się pan
miejsca starczy
toż nie ucho igielne
na całe stado
więc cwałuj pan cwałuj
bo Wielki Wóz
odjeżdża już za pięć
dwunasta panie
po ile ten bilet
znaczy się
dokąd

NOWE KWIATY I ŻYCIE JABŁONI

Pociąg jechał coraz wolniej, już jakby tylko od niechcienia powlókł kołami po torach, wijących się wśród rozpasanych, rozkołysanych traw. Mijał tunele, mosty i jeziora. Anna Maria dawno już zasnęła. Anna Maria przespała swoją stację. A oto pociąg dobiegał już kresu, zwalniał zmęczony swój bieg. Obudziła się gdzieś daleko i wysiadła, nie pytając o nic. Stała na jakimś zielonym pagórku, na zielonym wzgórzu. Nie wiedziała, co to był za kraj. Było tutaj lato. Gorzało tu lato. Panowało dziwne ciepło. Promieniowało słońcem, obezwładniało pulsującym wiatrem. Zawieruszyła jej się walizka. To i lepiciej, co tam w końcu masz — wyszeptła, gładząc swe włosy, wijące jej się lekko wokół szyi, oddane poruszeniem wiatru. Malowniczym ruchem dłoni uniosła je nieco w górę, odkrywając szyję i kark, dreszcz przebiegł po jej spoconym, zmęczonym podróżą i całym tym wielkim hukiem ciele, po jej lekko obnażonych plecach. Przyjemny, rozkoszny dreszcz. Zimny wiatr na rozgrzanym ciele. Ruch ręki, powiew wiatru, pierzchnięcie złego snu. Rozczesywała dłonią włosy. Stała i rozczesywała zakurzone włosy, które rzeźwił wiatr. U jej stóp wiły się podstępnie opadłe, oniemiałe, bezwładne mgły. Przyglądała im się bez żalu, odprowadzała je wzrokiem, patrzyła, jak odstępowały od niej potajemnie i cichaczem, jak demonicznie i tęsknie uwijały się jeszcze wokół stóp, lecz brakło im już dawno sił, gorączka tego lata obezwładniała bowiem wszystko, jak kusiły i dusiły się nawzajem, aby w końcu rozpląnąć się w tym żarze i zostawić po sobie szary, zwęglony popiół pośród traw. Wzrok Anny Marii był pozornie obojętny i bezwładny.

Substancji w nim jakby nie było. Lecz ona czaiła się tylko, by tym mocniej zająć wreszcie opustoszałe w jej oczach miejsce. Przezroczyście rozglądała się dokoła. Ogarniały ją zewsząd dreszcze. Podeszła do potoku, źródła właściwie, co okręcało się wokół wzgórza, czysta woda wiła się po kamieniach, gładziła woda kamienie, pieściła dno, sunęła wciąż i wciąż do przodu, gnana prądem nie wiedzieć skąd. Pędziła do morza. Anna Maria zdjęła sfatygowane buty, zdarte buty i rajstopy, a bosymi stopami wspinała się po wodzie, po kamieniach, choć bolało nawet czasem, lecz to nic, co i rusz przystając i pijąc wodę ze swej dłoni. Czasem brała wody pełne garści dwie i nurzała w niej swoją twarz. Rozpływały jej się wszystkie farby. W rękach rozpływały jej się farby. Woda wypływała jej z rąk. Czerpała całymi garściami, część wody uciekało, a część piła tak łapczywie i drastycznie, jakby z pustynnych gdzieś wracała krajobrazów, dawno już nie nasycona, jakby nigdy, nigdy w życiu źródeł czystych nie widziała. Pragnienie pokutowało w niej straszne. Anna Maria była sama samiutka. I przebiegały jej po plecach słynne dreszcze. Dreszcze rozkoszy. Dreszcze cichej, niemrawej jakby nieco rozkoszy. A pod skórą prężyła się już krew. Gotowa już od dawna do przeskoku. Do przeskoku w te słynne wymiary, z których woda splywa fontannami, żywa woda splywa bogato, splywa suto i toczy się żarliwie. Nie trzeba już snem się zgasył karmić ani poić. Miłości szukać, gdzie jej być nie może. Woda tryska tu całymi strumieniami. Anna Maria przypomniała sobie białą sukienkę, wianek kwiatów na głowie, pusty kościół obsypany kwiatami. Dla tej jednej jedynej dziewczynki ustrojony cały kościół był. Między obrazami, między ławkami wiły się białe kwiaty, dzwonki konwalii, bukiety bzu. Nikt więcej tu nie przyszedł tego dnia. Chociaż wszyscy byli zaproszeni. Dla tej jednej, jedynej dziewczynki cały kościół w białych kwiatkach był. Dla niej jednej grał i śpiewał organista. Nie zabraniajcie im, nie zabraniajcie im... Anna Maria cała się trzęsała. Anna Maria stała na balkonie i nie widział jej nawet ksiądz. Anna Maria patrzyła na dziewczynkę, powolutku i nieśmiało podchodzącą do ołtarza, klękającą z wahaniem u hostii świętej stóp. Anna Maria wylewała gorzkie łzy. Dopiero potem spłynął na nią potok. Anna Maria przestała się bać. Nic na świecie nie było w stanie jej już zgiąć. Nie poszarpią jej już żądze i tęsknoty. Nie połamią jej już ludzie i ich sąd. Giętkiej, białej brzozy nie ugnie już wiatr. Nie będzie nigdy walić głową o mur. Opadłego liścia gwoździem przybijać do drzewa. Nie będzie już się głupio i szyderczo śmiać. Charcząco i głucho. Szukać nie będzie już ratunku. W baseny posępnie się rzucać. Po parowach się wałęsać i korytach. Stała więc oto jak panna młoda, na tym zielonym, na tym wzgórzu, wtulona w ramiona oblubieńca — wiatru, czasu... To stała, to klęczała, to w wodę patrzyła. A kiedy zawirował wokół pył i kurz, zrozumiała, że jej włosy całkiem są porwane, zniszczone i matowe. Pójdę jutro do fryzjera. Dam sobie obciąć włosy. Pomyślała. A ponieważ rozpląnęło się wszystko, Anna Maria wymyśliła się od nowa. Wymyśliła się po prostu jeszcze raz.